№ 20.

WARSZAWA

d. 7 (19) maja

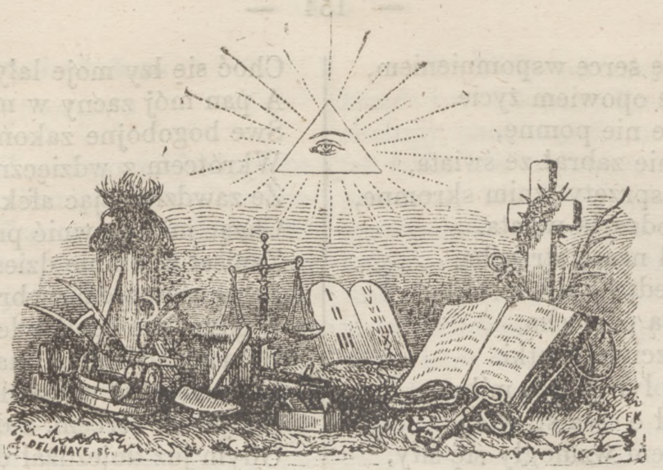
1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Między darami Ducha Śgo, jakie Chrystus Pan zsyła i zsyłać będzie na swych służebników, najważniejszym jest dar zwyciężania samego siebie, i znoszenia cierpień dla miłości Boga. (Śty Franciszek.)

GAWĘDA.

—

Późną jesienią, szarym wieczorkiem,
W posępnej ziemi Podlasia synów
Stanął z furzyną, przed białym dworkiem
Sędziwy kwestarz od Bernardynów.
Człek to wybrany z braci swych grona,
Znana wam dobrze postać jest taka:
Wesoły humor, twarz pomarszczona,
I w tabakierze sławna tabaka.
Dobryż, bo dobry był nasz księżyna,
Każdy go kocha, młodzi i starzy,
Gdy gdzie zasiędzie obok komina,
Z dzieckiem żartuje, ze starym gwarzy.
A w takiej zgodzie żył z całym światem,
Że nie miał wroga wokół w powiecie,
Z każdym się biednym dzielił jak z bratem,
W każdej sierocie widział swe dziecie.
A choć rubaszny, choć niepozorny,
Miał wstęp do chatki, jak i do dworu,
I choć brat tylko sługa klasztorny,
Zwany był perłą swego klasztoru.
Więc pan Serwacy dziedzic tej włości,
Poczciwy starzec choć dziwak trocha,
Zawsze wesoły, gdy Bóg da gości,
Powitał z serca braciszka Rocha.
A gdy już miano dawać wieczerzę,
Ustały wszelkie dzienne roboty,
Gdy ksiądz swe zwykłe zmówił pacierze,
A pan domowe pozbył kłopoty,
Dalej przed komin i nuż do rady,
Jak zwykle bywa o takiej dobie,
I gwarzą wspólnie dwa stare dziady,
Trochę o ludziach, trochę o sobie.
— Mój księże Rochu, niech waść pozwoli,
Rzekł pan do księdza tak mimochodem,
Zjedliśmy pono już beczkę soli,
A dotąd nie wiem, zkąd wasze rodem.
A tak coś widzę po waści mowie,
Żeś nie w klasztorze urósł nam przecie,
Lecz nim włos siwy błysnął na głowie,
Gdzieś tam i dalej wędrował w świecie.
Bernardyn podniósł oczy z westchnieniem,
— Smutno, rzekł, gwarzyć o dawnym bycie,

Lecz choć rozranię serce wspomnieniem,
Chętnie wam moje opowiem życie.
Ojca mojego wcale nie pomnę,
Bo Bóg go wcześnie zabrał ze świata,
Tylko dom stary, sprzęty wnim skromne,
Siostrę i matkę podeszłą w lata.
Nędza gościła pod naszą strzechą,
Chociaż w niej kiedyś były dostatki,
A myśmy byli całą pociechą,
Całą nadzieją poczciwej matki.
Póki dzieciństwa płynął czas miły,
Nie wielem myślał o ojca stracie,
Lecz gdy z rozumem wzmogły się siły,
Nie mogłem dłużej wysiedzieć w chacie.
Ha! rzekłem sobie, świat tak szeroki,
Mam głowę przecie, dwie zdrowe ręce,
Mogę świetniejsze roić widoki,
Dla matki, siostry, wszystko poświęcę.
Wszakże me chęci, czyste i prawe,
W pracy chcę szukać mego ratunku,
By biednej matce otrzeć łzy krwawe,
I młodą siostrę wyrwać z frasunku.
Więc gdy mię takie zamiary wiodły,
Wziąłem od matki świętą przestrogę,
Z błogosławieństwem, łzami i modły,
I mem ubóstwem ruszyłem w drogę.
Rodzinną wioskę minąłem śmiało,
A wkrótce potem jakoś po roku,
Urosłem w siły, bo mi się zdało,
Że Bóg mi w każdym pomagał kroku.
Jak mną tam różnie rządziły nieba,
Jużbym nie umiał powtórzyć komu,
Dość, że znalazłem kawałek chleba
W pewnego pana zamożnym domu.
Ażem był pilny w lata dziecięce,
I do nauki dosyć ciekawy,
Lubił on mojej powierzać ręce
Swojego domu ważniejsze sprawy.
Znał on, żem Stwórcę czcił bogobojnie,
Bo mnie czasami badał ukradkiem,
Więc mnie też za to często i hojnie,
Łaską i sutym nagradzał datkiem.
Jednak się zawsze czułem sierotą,
Choć wśród opieki tak dobroczynnej:
Częstom rozmyślał z łzawą tęsknotą
O matce, siostrze, stronie rodzinnej.
Raz nawet byłem już w pogotowiu
Odwiedzić matkę w smutnej żałobie,
Gdy pan mój ciężko zapadł na zdrowiu
I pragnął, żebym strzegł go w chorobie.
Musiałem przystać na tę ofiarę,
Choć się łzy moje lały obficie,
A pan mój zacny w miesięcy parę
Swe bogobojne zakończył życie.
Wkrótcem z wdzięcznością usłyszał żywą,
Że zawdzięczając afekt dziecięcy,
Chcąc mi zapewnić przyszłość szczęśliwą,
Zapisał dla mnie dziesięć tysięcy.
Zaraz się potem wybrałem w drogę,
Nigdym nie cenił tyle pieniędzy,
Bom myślał niemi matkę niebogę
I siostrę lubą wybawić z nędzy.
Z bijącem sercem, z dziwną tęsknotą,
Gdym już dojeżdżał do naszej chatki,
Skoczyłem z bryki, aby piechotą
Dostać się śpiesznie do kolan matki;
I kiedym w głowie snuł myśli tłumne,
Jak zwykle gdy się o szczęściu marzy,
Ujrzałem nagle niesioną trumnę,
A za nią kilka znajomych twarzy.
Poczułem w bólu płonące skronie,
Żal mi na miejscu powstrzymał kroki,
Serce gwałtownie zabiło w łonie,
To mojej matki niesiono zwłoki!
I wszyscy na mnie patrząc ciekawie,
Żal mój jedynie dzielili skrycie,
Bo siostra moja we dworskim stawie
Już przed miesiącem skończyła życie.
Nie dziw, żem człowiek słaby, mizerny,
Chciał się na życie targnąć zuchwale,
Ale Bóg dobry, Bóg miłosierny
Nie dał mi zginąć w zwątpienia szale.
Tak nie uległszy w grzechu pokusie,
By w religii znaleść ulżenie,
Przyrzekłem służyć braciom w Chrystusie,
I kościołowi złożyć swe mienie.
Życie me kirem odziane grubym,
Lecz już nie grzeszę żalami memi,
Kościół mi matką, Bóg ojcem lubym,
A braćmi biedni na całej ziemi!
Wzgodzie z sumieniem z niebem i światem,
W mniszym habicie w świętej pokorze,
W serdecznym związku z całym powiatem;
Już lat trzydzieści żyję w klasztorze...

* * *

Tu pan Serwacy kwestarza ściska,
Dwa ich westchnienia wzleciały w parze,
I jasny, krwawy płomień ogniska
Dwie rozczulone oświecił twarze!

Rada sąsiedzka.

(Zdarzenie prawdziwe.)

—

Była to niedziela. Z małego wiejskiego kościołka, po wysłuchaniu nieszporów, wychodził lud wioskowy. Łącząc się w gromadki, zwolna postępowali wszyscy do domów swoich; jedni gwarzyli o jutrzejszej robocie, drudzy o swojej zwykłej biedzie, inni o nabożeństwie tylko co odbytem, a było i takich kilku, co nie pamiętając przed chwilą wyrzeczonych słów kapłana, zwolna zdążali do karczmy. Powoli droga stawała się coraz więcej pustą; lepsi i dbalsi gospodarze poszli w pole przyjrzeć się swojej pracy, mniej zaś dbali i próżniacy zasiedli ławy karczmy i ciągnąc kieliszek po kieliszku, wyrzucali marnie grosz ostatni, albo nie mając już i tego, zapisywali kreski na owcę lub wołu. Kobiety usadowiwszy się pod ścianami domów, jak zwykle miały sobie wiele do mówienia, a kiedy niekiedy wymawiane głośno imiona zdrobniałe, świadczyły, że oprócz zajęcia się sobą, strzegą jeszcze dzieci, które bawiąc się na środku drogi, obrzucały się piaskiem, lub dobrowolnie w nim się nurzały. Ostatnia trójka posuwała się do domu; gwarzyli to o tem, to o owem; aż jeden z nich Wojciech, przerywając rozmowę, odezwał się:

— Coś to musiało się taki stać u Józefa, boć to jego żony nie było dzisiaj w kościele.

— Może zaniemogła nieboga, powiedział Antoni, boć i Józef dzisiaj jakoś więcej modlił się i nie poszedł jak zwykle w pole, ale prosto do domu. Nie daj Boże jakiego nieszczęścia; poczciwi to ludziska, i jakoś im się nie wiedzie.

— A toć to idzie czwarty miesiąc dopiero, rzekł Jakób, jak pochowali chłopaka; dziesięć lat miał już podobno, i do szkoły chodził i taki na każdej już książce potrafił.

— Nieszczęście, to prawda rzekł Wojciech, już to taka wola Pana Boga; ale powiedziawszy po prawdzie, to i sami sobie winni. Chłopak zaniemógł trochę, oni nie patrzali na to, myśleli co tak i przejdzie, i nie radzili się nikogo. Choroba coraz większa była, a w kilka dni to i w łóżku go położyli. Chłopak jęczał, sechł i w tydzień Bogu ducha oddał. A radziłem im, gadałem, coby dali znać do dworu, lub do księdza proboszcza; nie chcieli, to też nie mają syna.

— Cóż kiedy tak uparci, powiedział Jakób, ksiądz i w kościele i kiedy tylko przyjdzie do chałupy, zawsze gada, coby zaraz dawać znać, jak tylko kto zachoruje i pan ciągle to samo powtarza, cóż kiedy jakoś nie słuchają! Pan sprowadził nawet teraz i do wsi doktora jakiegoś, dał mu chatę i ogród, aby tylko pilnował chorych; często jak kto nie ma, to pan daje swoje lekarstwa i zapłaty nie żąda; ale cóż kiedy i nie wierzą i nie wierzą!

Tak rozmawiając, zbliżali się do dróżki wiodącej w pole; chcieli jako pilni gospodarze, przy wolnym czasie obejrzeć zboża i pocieszyć się plonem, jakim Bóg wynagrodził ich pilność i pracę. Ale Wojciech, który zawsze więcej dbał c dobro cudze, jak o swoje, który gotowym był raczej sam ponieść krzywdę, niż kogo skrzywdzić, co innego miał na myśli. Czy to gdzie potrzeba było rady, czy też inną pomoc komu wyświadczyć, Wojciech zawsze był pierwszym. Nieraz, gdy który z sąsiadów przez pijaństwo zapomniał o gospodarstwie i wpadł w nędzę, Wojciech nie odstępował go nigdy. Dopóty prosił, namawiał, radził i z własnej kieszeni pomagał, aż podupadły wszelkiemi zmuszony środkami przestawał pić i znowu był dobrym gospodarzem. Inni litowali się tylko i mówili: Szkoda człowieka, zniszczeje!.. szkoda gospodarstwa i tym podobne rozwodzili żale, ale rzadko któryby dopomógł. Wojciech zaś nigdy wiele nie gadał, ale jak co pomyślał, to zaraz i zrobił. Czy kto wpadł w biedę przez jakie niespodziewane nieszczęście, czy też przez własną winę, Wojciech zarówno temu jak i tamtemu pomagał. W złym zawsze chciał dopatrywać dobrego, tłomaczył go przed innymi i nigdy nie potępiając człowieka, szukał w nim przyczyny, która go skłoniła do złego. Mając jaki zamiar, zawsze go doprowadzał do skutku; a chociaż często spotykał trudności i przeszkody złych ludzi, szedł jednak drogą prostą, wytrwale, nie udawał się nigdy do kłamstwa, pochlebstwa lub poniżenia, ale prawdą, szczerością i szlachetnem postępowaniem przekonywał innych i zawsze postawił na swojem. Chociaż mu kto i źle życzył, on na to nie uważał wiele, lecz owszem odpłacał mu dobrem, a tak postępując, zyskał dobre imie i poszanowanie w całej gromadzie.

I teraz nie widzac żony Józefa w kościele, i myśląc że kto zachorował w domu, nie po-

szedł w pole dla zobaczenia pracy swojej, ale pożegnawszy Jakóba i Antoniego, pośpieszył prosto do Józefa chaty.

Skrzypnęły drzwi ubogiego domku i Wojciech z zafrasowaną twarzą stanął na środku izby. Józefa nie było jeszcze w chacie. Został on dłużej od innych w kościele, gdzie klęcząc pod drewnianą ścianą, chociaż nabożeństwo dawno ukończonem było, ze złożonemi rękami i modlitwą na ustach, z prostych słów złożoną zanosił prośbę do Boga i Najświętszej Panny o zdrowie żony swojej.

Wojciech wszedłszy do chaty i dokoła obejrzawszy się, został mocno zdziwiony. Pod ścianą na nędznym tapczanie trochą siana i grubą nakrytym płachtą leżała blada kobieta. Zamknięte oczy i bezwładność ciała pokazywały, że chora zasnęła.

Wojciech pocichu przybliżył się do tapczanu, spojrzał na wynędzniałą twarz leżącej i półgłosem szepnął słów kilka: Zle, źle, no, a ja o niczem nie wiedziałem! Kilka dni temu, jak tutaj byłem, chodziła jeszcze. Prawda, uskarżała się cokolwiek, ale zdawało się, że to nic. No, a ja o niczem nie wiedziałem!..

Drzwi skrzypnęły znowu i Józef wszedł do izby.

— Niech będzie pochwalony, powiedział po cichu do Wojciecha, zdejmując czapkę i zbliżając się do niego.

— Na wieki wieków, odpowiedział Wojciech i podał mu rękę.

— Ot patrzcie kumie, mówił pocichu Józef, widząc że chora usnęła, już to jak się zaczną nieszczęścia, to jedno po drugiem nadchodzi na człowieka. Ot niedawno, bo dopiero czwarty miesiąc jak pochowałem syna; dobry był chłopak i do roboty skory i posłuszny i w szkole się nieźle uczył, swieć Panie nad jego duszą!.. a teraz żona mi zaniemogła i drugi dzień już leży kiejby bez duszy.

— Cóż to takiego, co ją boli? zapytał Wojciech.

— Albo ja ta wiem, ot chora, rzekł Józef. Tydzień temu chodziła jeszcze, w poniedziałek była jeszcze u żniwa pańskiego, no i przyszedłszy do domu, zaczęła się skarżyć, że ją głowa boli, że jej zimno, i że ją jakoś siły uchodzą. Myślałem, że to przejdzie, że jak zwykle poboli, to i przestanie, a tutaj coraz gorzej. Trzy dni temu, jak się położyła, tak leży dotąd, jęczy tylko i nic nie mówi. Już tak Bóg chciał!

— A chodziliście do kogo radzić się? zapytał Wojciech.

— A juści, chodziłem do Stepańczuka pastucha dworskiego, on to zna się na różnych lekach; on to jak wiecie Wojciechu, i kołtuny zamawia. Przyszedł, popatrzał, coś poszeptał, dał później jakiegoś tam ziela, żeby je ugotowawszy pod szpontem o północku, wypiła, i mówił że to nic. Tymczasem jej teraz i gorzej i gorzej. Wczoraj jeszcze mówiła, a dzisiaj już i nic nie mówi nawet.

— Czemużeście Józefie nie dali znać do dworu, albo do księdza? Toćto pan sprowadził przecie teraz i doktora dla ludzi i sam ciągle gada, aby dawać znać, jak tylko kto zachoruje na wsi.

— Ale co tam dawać znać, powiedział Józef i machnął ręką. Czy to tam już potrafią dać zdrowie choć i doktory? Jak Pan Bóg zechce, to ją wyprowadzi, z tej niemocy. Kiedy zresztą Stepańczuk jej nie pomogli, co to znają go ludzie z leków, to i nikt już jej nie poradzi.

— Tak juścić, doktory dać zdrowia nie mogą, ale jeśli kto zachoruje, to mogą go z tego wyprowadzić. Na to się oni uczą. A przecież i moją Krychę tak dobrze wykurowali.

— Et, co tam nauka, przerwał Józef, dlaczegóż niby to leczą, a ludzie i chorują i umierają!

— Umierają, rzekł Wojciech, bo to w mocy Boga. Czasem najdzie na człowieka taka choroba, co i nie można wyleczyć; no, to już i trudno i człowiek umiera. Doktór ta nic nie winien. Aleć bywa często, że człowiek choć zdaje się jakby nie żywy, a jednak go wyleczą i zdrów. A nie pamiętacie to Józefie Szymka? Choć go i Stepańczuk leczyli, to dlatego już ledwo dychał, dopiero doktór jakoś tam dobrze poradził i dziś Szymek chodzi.

— Ej, ja w tych doktorów to i nie wierzę, mój Wojciechu. Ot niedawno jak mi syn chorował, toć był i doktór u niego, bo ksiądz go z sobą przyprowadzili, i cóż zrobił? obejrzał go, dał nawet jakieś lekarstwo, a syn jednak umarł!

— A jabym powiedział Józefie, że to także wasza wina, odrzekl Wojciech. Póki Jontek nie był taki chory, gadałem wam ciągle, żeby

pójść do dworu, nie słuchaliście. Aż jak już miał tylko kilka godzin do śmierci i gdy zobaczyłem że tak źle, poszedłem sam do księdza proboszcza. Cóż robić? było już za późno. Jeżeli choroba nie wielka jeszcze i jeżeli prędko poradzi się doktora, to można jeszcze i wyleczyć; ale jeżeli chory już kona, to trudno, to i nauka nic nie poradzi.

— Toć samo i ksiądz w kościele gada, powiedział Józef; ale co to!.. jak Pan Bóg zechce, to człowiek umrze, a jak zechce, to i po śmierci nawet wyzdrowieje.

— Tak prawda i to odpowiedział Wojciech, ale też Pan Bóg nakazał także, aby ludzie o siebie dbali. Kiedy można wyleczyć i kiedy jest jeszcze czas potemu, to i wielkim jest grzechem zaniedbywać chorego. Życie nasze nie do nas należy i trzeba się kiedyś rachować z niego; trzeba go więc strzedz i na prędką śmierć nie narażać. Toć to i ksiądz w kościele mówił, że zaniedbać chorego i nie starać się o zdrowie, jest grzech przeciwko piątemu przykazaniu Bożemu. Każdy człowiek, mój Józefie powinien drugiemu dopomagać. A jeżeli nie będziemy dbali o swoje życie, to nie tylko sobie nic nie zrobimy, ale i drugim nie dopomożemy.

Józef na pół przekonany słusznemi słowami Wojciecha, zgodził się wreszcie, aby doktora poprosić. Chora obudzona ich rozmową, otworzyła oczy, a nie mając siły obrócić się, jęknęła kilka razy. Józef pośpieszył do niej, a Wojciech tymczasem nie tracąc czasu, udał się do doktora. Opowiedziawszy mu mniej więcej stan chorej, prosił, aby wziął z sobą jakie lekarstwa i wskazawszy mieszkanie Józefa, powrócił do swej chaty, aby wyprawić swą żonę do doglądania słabej.

Nadszedł niebawem i doktór, obejrzał leżącą, a potrząsnąwszy głową, odwrócił się do Józefa z zapytaniem o postępie choroby. Zupełna bezwładność i stan prawie konający chorej, przepowiadały, że niewiele jest do stracenia czasu, że jedna chwilka może dla Katarzyny grób zgotować.

Po krótkiej więc z Józefem rozmowie, doktór pośpiesznie opuścił chatę jego i udał się do siebie w celu przygotowania potrzebnych środków.

Józef został sam jeden w chacie obok chorej żony. Z rozpaczą rzucił się na kolana przed obrazem Matki Bożej i w gorącej modlitwie błagał jej o zdrowie.

W takiej to postawie zastał go jeszcze powracający z lekarstwem doktór. Opowiedziawszy Józefowi, jak ma postępować z dawaniem lekarstwa, zgromiwszy go, że tak długo pozwolił rozwijać się chorobie, nie dając znać do niego, wyszedł zalecając jak najściślejsze stosowanie się do swego polecenia w postępowaniu z chorą.

Nazajutrz zrana przybył znowu do chaty. Żona Józefa zdawała mieć się lepiej. Obfite poty wywołane lekarstwem ulżyły jej dużo, i nadzieja, iż powróci do zdrowia ożywiła doktora. Przez trzy tygodnie jeszcze codzień on odwiedzał Józefa domek, a z każdym dniem chora nabierała sił więcej i stawała się już zdrowszą.

I Wojciech odwiedzał ich często, pomagał ile razy bieda przycisnęła, a jego żona przez cały czas zajmowała się doglądaniem chorej.

W miesiąc potem żona Józefa, jak dawniej była już w stanie zająć się robotą.

Pewnego wieczora po ukończeniu całodziennej pracy, Wojciech z Józefem powracając z pola, przybliżali się ku wiosce. Prowadzili powolną gawędkę, rzucając czasami po kilka wyrazów. Tak przyszli przed chatę Józefa. Wojciech chciał go pożegnać i pójść do siebie, gdy ten nalegając na niego, rzekł:

— Ot chodźcie lepiej do mnie, zmachaliśmy się dobrze idąc taki kawał drogi, odpoczniecie trochę w izbie, i zobaczycie moją Kaśkę, która od czasu słabości wdzięczna wam za swoje życie.

— Muszę iść do domu, odpowiedział Wojciech, boć to i wieczór już, a trza zobaczyć, co się tam dzieje w chacie i co tam moje kobiety robią.

— Jużciż tam dom nie ucieknie i nic się w nim złego nie stanie mój Wojciechu, a ja zawsze rad jestem, jak jesteście u mnie i taki wam wdzięczny, coście mi uratowali kobietę.

Wtem wyszła z chaty i Katarzyna, a przyłączywszy swe prośby, zmusiła Wojciecha, by wstąpił choć na chwilę do nich.

Wojciech od czasu wyzdrowienia Katarzyny unikał prawie widzenia się z niemi, bo ciągle mu dziękowali i okazywali wdzięczność. I teraz zmuszony prawie wszedł do chaty

z zakłopotaną twarzą, a położywszy sierp na stronie, usiadł na ławce.

— Już też was Wojciechu, rzekła Katarzyna zamykając drzwi za sobą, nie można nigdy sprowadzić do nas. Teraz kiedy Bogu dzięki mogę już robić, uciekacie od nas, jakbyśmy i trzech słów nie byli warci. Oj Wojciechu, Wojciechu, czy to się tak godzi, a przecież żeby nie wy, to jabym już dawno ziemię świętą gryzła.

— Ot, co tam gadacie Katarzyno, ja was przecie nie wyleczyłem, a że namówiłem Józefa, by poradził się doktora i sam po niego poszedłem, toć jeszcze nie ma tak i za co tak dziękować.

— Oj świętą, świętą prawdę mówiliście Wojciechu, dorzucił Józef; gdyby nie ten doktór, możebym już dawno pochował Kaśkę. Jużcić Pan Bóg pomoga, to prawda, ale i bez pracy człowieka to się nic nie stanie. Co nauka, to nauka, zawszeć muszą tam i wiedzieć wiele, kiedy tyle i z takich grubych książek czytają. Gdybym to ja był i do Jontka usłuchał was i poradził się wcześniej doktora, możebym go i nie stracił.

Co teraz to dzieciom i wnukom swoim gadać będę, że jeżeli kto zachoruje, to niech się radzi. Ileć to u nas umarło, co te mogliby żyć jeszcze dotąd, cóż kiedy tak uparci. Prawda, że i ja taki sam byłem, ale dziś tu już inaczej. Trzeba zawsze pono słuchać mądrzejszego.

Noc się zbliżała i czas było myśleć o spoczynku. Wojciech pożegnał Józefa i jego żonę i z twarzą spokojną i zadowoloną powoli powlókł się do domu. Rad był sam z siebie, że jednę uratował od śmierci, a drugiego wyprowadził z błędu, który na nieszczęście tak jest powszechny między wiejskim naszym ludem.

Wspominek

O KOŚCIELE Śgo JANA W WARSZAWIE.

Niejednemu z modlących się w kościele Śgo Jana w Warszawie, przyszła myśl do głowy, zapytać się, czyje też to są owe grobowce, które w ścianach tej świątyni widzi, kto też to pierwszy ten stary przybytek Pański ufundował? Oj! dawne to czasy! Ludzie jak kłosy przeszli po tej ziemi, zostały grobowce tylko, świadczące o czynach ludzkich, został dom chwały Bożej, który ich przetrwał, i który jak wiara, co go wzniosła, zostanie niewzruszony.

Przed 500 laty, kiedy Warszawa była wioską jeszcze, na tem miejscu, gdzie dziś widzicie kościół Śgo Jana, stała mała kapliczka, zbudowana przez Konrada księcia Mazowieckiego. Z czasem, kiedy Warszawa wyrosła na miasto, kapliczka ta stała się kościołem i najdawniejszą parafią w Warszawie. Następny książe Mazowiecki Janusz starszy zamienił kościół drewniany na murowany i wyniósł go do godności kollegiaty. Wiele on świadczył tej świątyni Pańskiej, bo jak opisuje stary Długosz, był to pan najmędrszy i najznakomitszy pomiędzy spółczesnymi książętami i państwo jego kwitło, bo najsprawiedliwiej w niem rządził.

Nieodrodna siostra jego księżniczka Anna była także dobrodziejką kościoła Śto-Jańskiego, podobnie jak i inni z tej samej rodziny książęta.

To też pamięć przekazała z wdzięcznością imiona ich potomności. Patrzcie, oto w murach świątyni obok kaplicy Pana Jezusa, wzniesiono pomnik Stanisławowi i Januszowi książętom Mazowieckim. *Wykuci* z kamienia, okryci zbroją, spoczywają w Panu dwaj bracia: nad nimi sarkofag na kolumnach marmurowych, między któremi jaśnieje srebrny posąg *Zbawiciela na krzyżu na axamicie* czerwonym z *ramkami* srebrnemi.

Cześć ich pamięci!

Król *Zygmunt stary* Jagiellończyk wziąwszy po nich dziedzictwo Mazowsza, wiele świadczył dla tej świątyni, podobnie jak i małżonka jego królowa Bona, a następnie księżniczka Anna córka, która potem poszła za króla Batorego.

Czytaliście już w tem piśmie nieraz, iż stolicą dawnej Polski był Kraków, aż do czasów Zygmuuta III króla, tego, co przed zamkiem stoi. Pomimo to królowie Polscy, poprzednicy jego często w Warszawie przebywali i sejmy odprawiali. Sejmy dawne odbywały się po kościołach. Otóż i kościół Śgo Jana był miejscem, w którem się odprawiały takie na-

rady kraju całego. Otwierano ję nabożeństwem, tłumy szlachty i dostojników kościoła napełniały święty przybytek, a królowie zaprzysięgali tu narodowi. Trzeba wam albowiem wiedzieć, że w dawnej Polsce królowie pierwsi byli dziedzicznymi, to jest tron przechodził z ojca na syna, wnuka i t. d., aż dopiero kiedy wygasła panująca rodzina Piastów, a potem i Jagiellonów, naród zaczął sobie na sejmach obierać władców, którzy musieli przysięgać, że nie tkną w niczem religii i praw krajowych.

Kiedy Zygmunt III przeniósł siedzibę królów do Warszawy i zasiadł na zamku, niedługo gwałtowny wicher obala wieżę kościelną u Śgo Jana, zrywa dachy i gruzy zasypują znaczną część świątyni. Tylko krzyż Zbawiciela, sprawiony przez jednego z Baryczków mieszczan warszawskich, ocalał. Krzyż ten król rozkazał umieścić w oddzielnym ołtarzu, a w dziesięć lat potem, Stanisław Małopolski pobożny ziemianin z Bracławskiego wybudował kaplicę dla tego cudownego krzyża, która się dziś zowie kaplicą *Pana Jezusa* i jest na lewo od wielkiego ołtarza, wchodząc do kościoła. Bogate dary zbogaciły kaplicę, a oryle i flisy w podróżach swoich z Krakowa do Gdańska wstępowali tu na nabożeństwa i wraz z ludem warszawskim modlili się u Fary, gdzie jest „*Pan Jezus stary*,“ jak mawiali. W ogóle pobożny król Zygmunt jest jednym z najhojniejszych dobroczyńców kościoła Śgo Jana. Ofiarował on do wielkiego ołtarza wspaniały obraz, malowany przez sławnego malarza włoskiego nazwiskiem *Palma*, wyobrażający Najświętszą Pannę, Śgo Jana Chrzciciela i Śgo Stanisława, zbudować kazał własnym kosztem organy i zaprowadził piękną kapelę. Za jego też panowania wprowadzono zwyczaj umywania nóg 12 starcom w dni Wielko-czwartkowe.

—

Ojcowie nasi wszystkie sprawy swoje zaczynali od Boga; wszystko więc, co było chlubą kraju, lub jego boleścią odbijało się w świątyniach pańskich.

Królowie nasi pomimo przeniesienia stolicy do Warszawy, koronować się musieli w Krakowie. Władysław jednak IV syn Zygmunta, co mu statuę przed zamkiem postawił, pierwszy u Śgo Jana w Warszawie odbył koronacyą żony swojej Cecylii Renaty. Tu brat jego Jan Kazimierz przysięgał wstępując na tron, tu go nuncyusz papiezki wyjeżdżającego na wojnę błogosławił, wręczając miecz i szyszak nadesłane od Ojca Śgo, tu wreszcie odbył się obrzęd uznania pierwszego kardynała i pierwszego prymasa, to jest najpierwszego dostojnika kościelnego w kraju.

Jan III po powrocie z pod Wiednia, zawiesił tu chorągiew zdobytą na turkach i zbudował stalle, czyli loże dla duchowieństwa.

Stanisław August ostatni król koronował się u Śgo Jana, ubrany po hiszpańsku, co mu też jak wiele innych czynów, naród miał za złe, bo dawniej, nawet z obcych rodzin, królowie do koronacyi ubierali się po polsku. Pan ten co święto słuchał nabożeństwa u Śgo Jana, bywał na rezurekcyi, umywał nogi starcom.

Pomnik Stanisława Małachowskiego wzniesiono w 1831 r., a za naszych już czasów odnowiono całą archi-katedrę, jak ją dziś widzicie. Jedna z najpiękniejszych ozdób świątyni, pomnik prymasa Pawła Woronicza, który widzicie w kaplicy Panny Maryi, wzniosła mu rodzina w r. 1854.

Z dobroczyńców katedry warszawskiej wspomnieć należy dawne rodziny mieszczańskie: Groszkiewiczów, Sroczyńskich, Soczawskich, Bogdanowiczów, Wysoczyńskich, których następcy we wnukach i prawnukach nie odrodzili się od swoich pradziadów, bo i dziś widzimy zacne mieszczaństwo warszawskie, jak chętnie śpieszy z ofiarami dla starej świątyni pańskiej. Czytamy też tu nagrobki mieszczan: Pawła Zembrzuskiego prezydenta miasta, Marcina Łukaszewicza, Czamera, i t. p. Jest tu pomnik i znanego Maryana Lauszefta szweda, który uczciwie służył Polsce, swej przybranej ojczyźnie na dworze Jana Kazimierza, i zapracowany ciężko majątek zapisał na kościół Śgo Jana, oraz na missye w Inflantach, Cześć tym imionom; dobrzy to byli chrześcianie, bo poczciwi obywatele!

Różności.

—

Wcześne ciepła tego roku, a mianowicie odwilż i ciepłe deszcze do połowy lutego trwające, stopiły massy śniegów w po drogach i polach, nie

sprawiwszy nigdzie wylewów rzek, jakich się z tego powodu obawiać można było. Nagłe bowiem topnienie śniegów i lodów wstrzymywały przymrozki nocami i rankami panujące. W niektórych miejscach kraju, widziano już w ostatnich dniach lutego skowronki i czajki, wróżące bliską wiosnę. W kilku okolicach na lżejszych gruntach zaczęto już orać z końcem lutego. Po zniknieniu śniegów, oziminy i rzepaki pięknie się przedstawiały, a jeżeliby im wiosna sprzyjała, gospodarze spodziewaćby się mogli obfitego zbioru. Ostatnie jednak zimna, a teraz brak deszczu przeważnie na to wpłyną. W Proszowskim rzepaki w całości się utrzymały, gdzie niegdzie posiano już grochy; w ogólności zaś, o ile zapewniają nadesłane wiadomości z różnych stron kraju, oziminy dobrze przetrwały zimę i nic nie ucierpiały ani od wód, ani od śniegów zbytecznych.

—

Stan zdrowia inwentarzy, o ile słychać, jest dobrym; około Tomaszowa tylko w Lubelskiem gdzieniegdzie pokazała się u bydła choroba na zapalenie wątroby.

W Radomskiem szczególną zauważono zjawisko w nabiale; śmietana np. zbierana z mleka po 12tu godzinach staje się galaretowatą, kleistą, bezwonną, smaku po części nie zmienia. Masło daleko prędzej z takiej śmietany się wyrabia, a ma smak zwyczajny. Krowy jednak zawsze te samę dostają paszę, to jest sieczkę z siana, słomy jarej i ozimy, a w dodatku buraki naprzemian z pszennemi otrębami.

Co do owiec zaś, to te w niektórych stronach zapadać zaczęły na motylicę i puchlinę, a jagnięta na tasiemce. Pasza tu stanowi bardzo ważny artykuł w gospodarstwie. Kasztany dzikie okazują się bardzo dobrym i zdrowym przysmakiem dla owiec. Żywione kasztanami owce, mają skórę prawie karminowego koloru, oko żywe, język czysty i wełnę zdrową. Kasztany dzikie jako pasza obudzają apetyt i są użytecznemi bardzo, mianowicie w okolicach mających niskie i mokre pastwiska.

Zwracamy uwagę gospodarzy na to piękne i użyteczne drzewo, które nie tylko może być ozdobą okolicy, rosnąc prędko na każdym prawie gruncie, ale nadto stanowią zdrowy pokarm dla owiec. Przygotowania do tego są bardzo proste: należy kasztany zbierać w suchej porze po zupełnem dojrzeniu, następnie rozsypać w miejscu przewiewnem, na warstwę pół stopy grubą, i aby nie schły i nie tęchły, co tydzień raz przerabiać. W rozdzielaniu na paszę, trzeba się tak urządzić, aby owca przynajmniej raz na miesiąc dostawała tego pokarmu. Gdy zaś kasztany mają smak gorzki, trzeba je z owsem śrótowanym mieszać, zmniejszając coraz bardziej jego ilość stopniowo, a w końcu owce bez dodatku żadnego kasztany same jeść będą.

W Warszawie Towarzystwo czeladników cechu mydlarskiego zaprowadziło w ustawach swoich kilka ważnych zmian. I tak: dotychczas starszy czeladnik tego towarzystwa bywał zwykle cudzoziemcem; dzisiaj zaś ponieważ krajowców liczba przemagająca, obrano Polaka na przewodniczącego. Zwykła składka członków towarzystwa stanowiła złp. 3 miesięcznie, z których złp. 1 gr. 14 szło na fundusz szpitalny i do kassy pogrzebowej, resztujące zaś zł. 1 gr. 16 obracane bywały często na pohulankę, co tworzyło wcale sporą summę zupełnie zmarnowaną. Dziś kwota ta obróconą będzie na wsparcie dla biednej czeladzi bez roboty zostającej. Fundusz ten dołączony będzie do summy zbierającej się ze 100 złp. wpisowego, które każdy czeladnik płaci przy ukończeniu terminu.

Dawniej każdy cudzoziemiec, należący do cechu miał prawo otrzymać wsparcie przez czas pobytu w kraju naszym. Dziś postanowiono, że wsparcie takie będzie miało miejsce tylko w razie nadzwyczajnego jakiego wypadku. Cudzoziemiec zaś zdrów i nieposzkodowany, niechaj sobie szuka roboty, albo wraca do swojego kraju.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 7 (19) maja 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański.*